

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2,25. Półrocznie Rb. 4,50. Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb-Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Dunajewskiego Nr 1. CENA OGŁOSZEN: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i ogłoszenia zwykłe kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Kronika towarzysząca, Nekrologi i Nadesłane kop. 75 za wiersz nonparelowy. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłaniach 8 rb., na ostatniej 7 rb. wewnątrz 6 rb. Artykuły reklamowe z fotografią 1 strona rb. 175. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda Nr 1.
Telefony: Redakcji 73-12. Redaktora 68-75. Administracji 73-22 i 80-75.
Drukarni 7-36. FILIA w ŁODZI, ulica Piotrkowska Nr 81. Za odnośnienie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

ŚWIAT

Rok X. Nr 24 z dnia 12 czerwca 1915 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Warszawa, ulica Zgoda Nr 1.
Pod kierownictwem naczelnym Stefana Krzywoszewskiego.

Dolina Szwajcarska

Codziennie od godz. 8 wiecz.

Koncerty Warszawskiej Orkiestry Filharmonicznej pod dyr. J. Ozimińskiego i B. Szulca.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ulgę na wyp. niezd. do pracy

Filja dla Kr. P. Marszałk. 136.

8857 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr 2.
Biuro Kijowskie: Kiliów, ulica Kreszczatik Nr. 45.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9

Piotrogrodzki letni
TEATR- PERETTA
Walentyny Piątkowskiej,
9 Chmielna 9, tel. 51-14.

Z udziałem słyn-
nych prymadonny,
ulubienicy Piotro-
grudu i Moskwy.

W. Piątkowskiej

oraz naj-
lepszych
sił trupy.

Kasa otwarta codz. od 10-ej do 2-ej i od 5-ej do 9-ej wiecz.

Książka o gospodarce miejskiej Warszawy.

Otrzymaliśmy drugi tom dzieła, zatytułowanego lapidarnie „Warszawa” a stanowiącego poważne przedsięwzięcie publicystycznego charakteru dwóch naszych ekonomistów, pp. Stefana Dziewulskiego i Henryka Radziszewskiego. O pierwszym tomie, którego p. Dziewulski jest autorem, zawierającym cenne studia o rozwoju historycznym, topograficznym i statystycznym naszej stolicy, zdawaliśmy w swoim czasie sprawę; tom drugi, przedstawiający rozwój publicznej gospodarki miejskiej, autorem którego jest p. Radziszewski, nie dał długo na siebie czekać. Dzieło jest bardzo pożytecznym nabytkiem do tak ubogiej literatury naszej o społecznym rozwoju Warszawy, a prawo samorządowe, które nareszcie staje się faktem, nadać dwóm tomom „Warszawy” piętno wysokiej aktualności. Przynosi ono zarazem materiał bogaty, uporządkowany, sprawdzony do rozmów dlań o doli naszego ukochanego miasta, doli zaiste bardzo szczególnej.

Dzieło gospodarki miejskiej Warszawy sa wyjątkowe i nadzwyczajne. Po upadku państwa polskiego Warszawa otrzymała niemiecki magistrat czysto urzędniczy. Za czasów napoleońskich dostała wprawdzie samorząd, ale naprzód z radcami, wybieralnymi przez króla z podwójnej listy, a dalej z zarządem wprost urzędniczym. Zajączek zniósł za Królestwa Kongresowego wybie-

ralnych radców, ponieważ konstytucja Aleksandra I nic o ich wybieralności nie napomykała. Tak to trwało aż do dni naszych, z przerwą w latach 1861 i 1862, kiedy Warszawa posiadała znowu radców wybieralnych, dzięki reformom Wielopolskiego, nie przyjętym, jak wiadomo, przez naród. A więc od upadku państwa aż po dziś dzień miastem rządili, z krótkimi przerwami, urzędnicy, a rzadzili niem fatalnie, z małym wyjątkiem.

Temi rządami tłumaczy się przedewszystkiem tak niski stan oświaty w mieście, iż dało to prawo Adolfovi Suligowskiemu napiętnować je krwawą i okrutną nazwą *miasta analfabetów*. Temi rządami tłumaczy się to dziwne, niesłychane, niedzieńdziej nie praktykowane skąpstwo budżetu miejskiego na kulturalne cele miejskie. W tomie II-im „Warszawy” ta sytuacja zilustrowana jest cyframi, żałośliwie wzmownymi. Na oświacie publiczna Praga wydatkuje do 21% swych rozchodów miejskich, Berlin — 19%, Kolonia — 17%, Wiedeń 15%, a Warszawa tylko *nieć* procentów. Ta sama rubryka, przejrzana z punktu widzenia wydatków na głowę ludności, jeszcze smutniej się przedstawia: Kolonia wydała 7 rb. 57 kop., Praga — 7 rb. 16 kop., Berlin — 6 rb. 74 kop., Wiedeń — 5 rb. 24 kop., a Warszawa za ledwie *siedemdziesiąt kop.* Przed 30 laty ten wydatek określał się sumką: *jedenastu kop.* Natomiast Warszawa wy-

daje niepomniernie wiele na zapewnienie bezpieczeństwa publicznego, przyczem zabezpiecza je o wiele gorzej, aniżeli to się dzieje w innych wielkich miastach, wiemy bowiem, jak częstemi sa u nas kradzieże, włamania, rozbicia kas ogniotrwałych i rozboje. P. Radziszewski, po połączeniu w jedną rubrykę stosownych danych, daje następujące cyfry dla różnych miast: Wiedeń wydatkuje na bezpieczeństwo publiczne 11% swych rozchodów, Praga — 10%, Berlin — 4%, Kolonia 2%, a Warszawa aż *dwanaście* procentów.

P. Radziszewski podał w swem dziele zarys historii zwyrodniania się systemu gospodarki miejskiej od owego słynnego rozporządzenia namiestnika Zajączka z dnia 10 lutego 1816, zatrzymując się daleko nieco dłużej nad projektem gen. Storożenki, który w 1833 r. wysunął sprawy policyjne na czoło gospodarki miejskiej, a następnie nad „tymczasową” ustawą miejską z 1870 r., w dalszym ciągu psującą dzieło, już radykalnie przez Zajączka zepsute. Podaje dalej autor wiadomości o losach samorządu miejskiego na gruncie prawodawczych izb rosyjskich, przyczem zarys ten został przerwany na tem stadium rozwoju, jaki osiągnięty został w połowie lutego 1913 r. W tym czasie już pierwsze arkusze pracy p. Radziszewskiego poszły pod prasę drukarską, czem się tłumaczy brak dalszych losów projektu samorządowego w Dumie i Radzie Państwa, losów jeszcze przedziwniejszych, aniżeli początkowe.

Z kolei autor przedstawia czytelnikowi różne wielkie działy gospodarki miejskiej, poczynając od oświecenia. Pełno tu materyałów

sensacyjnych. Dowiadujemy się, że w roku 1844 poruszono u nas myśl oświetlenia miasta gazem, „sprzeciwił się jednak wówczas zbyt tym razem przezorny namiestnik Paskiewicz, wyrażając obawę, ażeby wrogo usposobiona względem władz ludność polska nie użyła gazu jako środka wybuchowego i nie wysadziła w powietrze gmachów rządowych, pod którymi mogłyby znajdować się rury gazowe. Co, najwyżej, zgodził się ks. Paskiewicz na to, by tytułem próby oświetlono Plac Zamkowy i dziedziniec pałacu Kazimierowskiego, zastrzegając wyrażnie, aby gaz nie był doprowadzany do tych latarni podziemnymi rurami. Wobec takiej woli namiestnika rozważono do tych latarni w rezerwuarach przeznaczonych gaz, wyrabiany w fabryce machin na Solcu, która była wówczas własnością rządową“ (str. 45). Autor nie cytuje źródła, z którego tę ciekawą wiadomość poczerpnął. Sprawa ta wróciła później na porządek dzienny i rozwiązana została w 1856 r., gdy miasto dało monopol „Kontynentalnemu Towarzystwu oświetlania gazowego w Dessau“, ze szpionów którego wybawiła nas dopiero obecna wojna. Historię oświetlenia gazowego w Warszawie przedstawił już nam p. Adolf Suligowski; w tomie prac zbiorowych p. t. „Sprawy miejskie“. Obituje ona w szczególności wysoce charakterystyczne, malujące sposoby i sposobiki, których przebiegiły a skrupułów pozbawiony prusacki system używał do obalamienia opinii i pozyskania a ujęcia sobie czynników decydujących. Interującym szczegółem tej historii jest, iż radcą prawnym towarzystwa Dessauskiego był Edward Leo, zarazem redaktor poważnej i pięknymi tradycjami opromienionej „Gazety Polskiej“; pismo to stało się obrońcą drapieżnych dessauczyków w 1880 r., gdy przyszły na stół obrady nad odnowieniem kontraktu, „ostrożnym lubo aż nadto wyraźnym“. Dessauczycy potrafili sobie, w każdym razie, dawać radę i przy nowej okazji uznali za roztropne — nie wciągać opinii publicznej do gry. Gdy przyszedł termin wpływu nowego, z 1882 r. pochodzącego, kontraktu, cała rzecz magistrat załatwił „intra muros“ tak pocichutku, iż prasa dowiedziała się o nowym kontrakcie Dessauczyków z miastem, zawartym w dniu 4 (17) września 1904 r., na lat 35 i pół, — już *post factum*. Najbardziej skandaliczną rzeczą w tej konspiracji było to, że przy zawieraniu tego tajemniczego kontraktu nie zasięgnięto opinii nawet miejskiej Inspekcji gazowej, utworzonej w roku 1883 z inicjatywy prezydenta Starynkiewicza. Wysiłki Dessauczyków stale miały na celu utrzymanie miasta w *stanie niewoli*. Od kontraktu do kontraktu udawało się to im stale. Nawet po wprowadzeniu oświetlenia elektrycznego, nawet po przejściu gazowni na rzecz miasta, łańcuch tej niewoli nie zostałby, wedle kontraktu, przerwany, ponieważ Dessauczyki mieliby w

monopolu — odpadki gazowania mineralów, do przeróbki ich na różnorodne chemikalia handlowe. Sam miecz zdolny był przeciąć ten fatalny węzeł gordyjski, w jakim interesy miejskie uwikłały podstępni Niemcy, wyzyskując słabość różnej natury biurokratycznych gospodarzy miejskich.

I oświetlenie elektryczne Warszawy posiada swoją historię, a widomym śladem dotychczasowego systemu pozostanie, na długo zapewne, haniebnny komin, szpecący widok z wyżyny Karowej ulicy na Wisłę i Pragę. Miasto zawarło tym razem umowę z koncesjonariuszem, dla siebie dość korzystną, ale ten koncesjonariusz wcale do wykonania umowy przystąpić nie chciał i zażądał — zmiany tej umowy. Sprawa ciągnęła się lata, wędrowała od kancelaryj generał-gubernatora do magistratu i odwrotnie, przebywała w różnych komisjach, jak w Kole elektryczników, w komisji technicznej profesora politechniki warszawskiej, Wulfa, w komisji Towarzystwa Kredytowego Miejskiego; ostatecznie nieśczęsnego koncesjonariusza, którego przecież miasto miało obowiązek ratować od strat, wziął w opiekę p. Litwiński, pełniący obowiązki prezydenta miasta, i doszedł jakoś z nim do ładu. Kontrakt ostatecznie został zmieniony. Jak doniosło się te zmiany, powie choćby ten jeden fakt, iż zamiast 144 kilometrów kabli, zawarowanych pierwszym kontraktem, pozwolono w drugim kontrakcie położyć tylko — 44 kilometrów kabli, a więc o całe *sto klm. mniej*, zaś na to dano koncesjonariuszowi — o dziesięć lat więcej w porównaniu z pierwotnym terminem.

Rozdział książki p. Radziszewskiego, poświęcony sprawie Tramwajów elektrycznych, przynosi czytelnikowi szereg rzeczy — nowych. O tych nowościach warto napomknąć w naszym pobieżnym sprawozdaniu. A więc pierwsza nowość: koncesjonariuszem tym razem byli nie Niemcy, nie Francuzi i nie Belgowie, ale Polacy; zdobyli się oni i na organizację potrzebną i na kierownicze siły handlowe i techniczne; druga nowość: wyraźne i stanowcze forytowanie przy budowie tramwajów krajowego przemysłu; a więc cały szereg firm polskich otrzymał zarobek, a cały szereg firm obcych, bez których nie można było się obejść, zniewolono do robienia w kraju obstarunków tego, co tu obstarować było można; i jeszcze jedna nowość: miasto pysznie na tym stosunku wyszło, bo 1^o pozyskało dobre tramwaje, które p. Radziszewski parokrotnie wychwala, i 2^o otrzymuje z nich zysk, dochodzący do 28% przeszło od włożonego na budowę kapitału. P. Radziszewski jednak i tym razem potępia zarząd miejski, bo twierdzi, iż to — za mało. Jesteśmy wprost przeciwnego zdania. Uważamy, że zarząd miejski wistocie zasługuje na potępienie, lecz za to, iż pozwala i koncesjonariuszom i sobie ciągnąć

tak wielkie zyski. Albowiem te zyski pochodzą, między innymi, i stąd, że sieć tramwajowa obsługuje tylko górne miasto, Powiśle zaś, gdzie ruch nie byłby tyle intensywny, a wagony tyle przepełnione, znajduje się w stanie komunikacyjnej dzikości. Nie wątpimy, że samorząd zmniejszy te wygórowane procenty, dostarczywszy koncesjonariuszom jaknajszybciej kapitałów na budowę tramwajów na Solcu, Dobrej, Czerniakowskiej.

I kanalizacja, i wodociągi, dwie wielkie sprawy miejskie, rozwiązane w zasadzie i w śródmieściu wyjątkowo pomyślnie, dzięki czcigodnej pamięci Starynkiewiczowi; i bruki, które zarząd miasta tak fatalnie gospodarował przez szereg lat, nie umiając przy pomocy swej inżynierii rozwiązać trafnie bieżących zadań; i rzeźnie, stanowiące ciągle o twarta i ciągle fatalną kwestję miejską; i hale, przy budowie których wprowadzono sporo ulepszeń i dopuszczono się sporo błędów, — wszystko to ma swoją historię, której jedną stronę tylko, zewnętrzną, wolno jest obecnie spisywać historykowi. Jednak to, co p. Radziszewski przedstawił, z tem, co z pod pióra jego przegląda i z tem, czego domyślać się wolno, stanowi lekturę bardzo interesującą, z którą zapoznać się warto. Sa w tej lekturze i jaśniejsze karty. W specjalniejszy sposób wszędzie tam, gdzie wylania się postać generała Starynkiewicza, wsłuka w tekst informacji autora drugiego tomu „Warszawy“, świadomie lub nie, trochę światła. Tego światła przybywa, jakby sprawy miejskie podczas nocy szły ku pełni księżycowej, tam, gdzie obywatelski żywioł został w jakiś sposób otwarty dopuszczony do rady albo inicjatywy. Jakże odmiennie od spraw oświetlenia miasta przedstawia się, w świetle cyfr i faktów, sprawa planacji miejskich! Jakże dziwnie szybko i sprawnie i użytecznie poczęło się rozwijać szpitalnictwo miejskie, od kiedy zniesiono osobny urzędniczy organ, kierujący niem, a przy magistracie utworzono komitet, w którym obywatele otrzymali możliwość rady i czynu!

Sądząc choćby po tej roli, jaką żywioł obywatelski odegrał w gospodarce miejskiej wszędzie tam, gdzie był on do jakiejś roboty zaproszony, możemy jaknajlepiej rokować naszemu samorządowi, który już wkrótce będzie mógł pokazać, do czego jest zdolny.

Albin Pawłowski.

Od Administracji.

Wielkie trudności, z jakimi walczyć musimy w obecnych czasach, zmuszają nas do wczesnego uregulowania nakładu „Świata“. Celem więc uniknięcia przerwy w wysyłaniu pisma, prosimy uprzejmie Szanownych Prenumeratorów o rychłe odnowienie przedpłaty na II-gie półrocze.



Niejednokrotnie się zdarza, że ciężko ranni żołnierze francuscy otrzymują oznakę legii honorowej na łóżku szpitalnym po przebyciu ciężkiej operacji. Jenerał, jego adiutant i siostra miłosierdzia bywają jedynymi świadkami tej zaszczytnej dekoracji, która nieraz bywa ostatnią, przedśmiertną pociechą cichych bohaterów.

Głosy polskie z nad Wilii.

2

U p. Aleksandra Zasztowta.

Z kolei zwróciłem się do przedstawicieli poszczególnych postępów odcieni politycznych na Litwie, — a więc w pierwszym rzędzie do p. Aleksandra Zasztowta, działacza jeszcze młodego, lecz z wyraźnie już zarysowaną indywidualnością. P. Aleksander Zasztowt, szczerzy zwolennik idei *krajowej* w rozmowie naszej na samym wstępie podkreślił różnicę, jaka zachodzi między Królestwem a Litwą, gdyż Litwy, podług niego, nie można utożsamiać z „kresami” metropolii polskiej, bo kraj to zupełnie odrębny w całokształcie swoim i mający prawo do samodzielnego życia i rozwoju.

— Co się tyczy społeczeństwa polskiego na Litwie, — mówił mi, — to uważając je za element niemniej związany z krajem od wszystkich innych narodowości, nie mogę zrozumieć żadnych różnic i odrębności w traktowaniu jego praw czy to obowiązków obywatelskich. Wszelkie nierównomierne obarczanie obowiązkami polaków, albo spychanie ich na plan drugi, uważam za niewłaściwe i bezwarunkowo niesprawiedliwe.

Przyznając bezwzględnie każdej narodowości pełne prawa swobodnego i wszechstronnego rozwoju

kulturalnego na warunkach poszanowania praw innych, rozmówca wymaga od każdej instynktu i poczucia obywatelskości, które im nie pozwala *podporządkowywać interesów kraju woli politycznej czy też interesom*



Aleksander Zasztowt.

innych poza krajem leżących centrów. Jego mniemaniem, polacy również mogą wymagać zrozumienia, że wyraz „obywatel” ogarnia i jednoczy wszystkich, kogo losy dusza i ciałem związały z krajem, i że idea łączności politycznej wszystkich narodowości w kraju musi być konsekwencją i wyrazem dbałości o jego losy.

Z tego założenia wychodząc, p. A. Zasztowt twierdzi, że wielce drażliwym momentem na tle miejscowych stosunków jest zetknięcie się kulturalne rozmaitych narodowościowych elementów i zupełnie zrozumiałe porwy do pracy kulturalnej

śród otaczającej nas niekiedy innej narodowości, na przykład, praca inteligenta polskiego wśród i dla ludu litewskiego, — i w tych jednak rzeczach subtelność obywatelska pozwoli nam odróżnić pracę ogólnokulturalną w imię ideałów humanitarnych i ogólnoludzkich od tendencji zachłannych i roboty nacyonalistycznej.

— Zasada: postępuj tak w stosunku do innych, jakbyś chciał, żeby postępowano w stosunku do ciebie, będzie najlepszym kryterium naszej poprawności.

Po tych ogólnikach, które stanowią jakby tezę programu „krajowego”, p. A. Zasztowt przechodzi do interesującej nas kwestyi, mianowicie sporu polsko-litewskiego, i konstatację, że waśń ta jest skutkiem zachłanności nacyonalistycznej w kraju; pomimo to wierzy w możliwość zgody, gdy dojdą do głosu elementy szczerze demokratyczne.

— Dopóki będą miały siłę elementy nacyonalistyczne i klerykalne, które rozpatrują wzajemne stosunki z punktu widzenia *historycznych praw* — zgoda nie nastąpi, natomiast waśń z każdym dniem będzie się coraz więcej potęgować.

— Jedynie możliwym punktem wyjścia, który nie będzie źródłem niezgody, to zasada samookreślenia czy samopoczucia, kto zaś nie dorósł duchowo do tych pojęć — to probierzem narodowym jest jego je-

zyk. Wszelki gwałt przy zaliczaniu kogoś wbrew jego samopoczuciu czy też samookreśleniu do tej lub innej narodowości winien być wykluczony.

W sprawie kościelnej p. A. Zasztowt jest stanowczym zwolennikiem oddzielenia kwestyi narodowościowej od religijnej, bo tylko wówczas ustana wszelkie niepożądane spory polsko-litewskie.

— Używalność tej lub innej mowy w kościele rozstrzyga się u stosunkowaniem narodowościowym w poszczególnej parafii. W kościołach, na które zwrócone są oczy całego, kraju, całej ludności, muszą być uwzględnione prawa każdej narodowości w obozie katolickim. Czy te prawa są uwzględnione, czy też nie, — w to nie wnikałem, lecz mam wrażenie, że w niedostatecznej mierze.

U p. Michała Römera.

P. Michał Römer, działacz o ideologię Jagiellońską, ceniony i poważny w wielu odłamach litewskich, autor cennego dzieła p. t. „Litwa“, w którym pierwszy dał całokształt ruchu odrodzeniowego młodej Litwy, dał mi ciekawe a głęboko obmyślane wyjaśnienia, które przedewszystkiem uwzględniają te ewentualności, jakie w stosunku do Polski i Litwy zrealizuje obecna wojna.

— Wojna ta, — tak mi mówił, — mieści w sobie olbrzymiej wagi dla obu krajów i obu narodów — polskiego i litewskiego — możliwości. Zależnie od zrealizowania ich wynikną dopiero warunki, na których dadzą się uzasadnić wnioski.

Kwestyę polsko-litewską p. M. Römer dzieli na dwa odrębne zagadnienia: primo, stosunek Polski do



Michał Römer.

Litwy, i *secundo*, spójście polaków i litwinów w ich ojczyźnie litewskiej, — i nadmieniam, że zagadnienia te nie mogą być rozpatrywane poza konkretnymi warunkami miejsca i czasu, bo

spełnienie ich rozstrzyga się dopiero na krwawych polach walki.

— Zgola przedwczesne i próżne są wszystkie wnioski, wyciągane z wypadków bieżących waśni, z jakichś zatargów kościelnych czy in-

nych, które wyrastają z dnia wczorajszego, dnia, który oby nie wrócił. Uwaga i woła oraz myśl obywatelska i narodowa skierowane być muszą nie do rachuby wypadków dnia wczorajszego, nie do dyskonta starych żalów i mętów w stosunkach, gdzie obie strony zawiniły dużo, a jeszcze bardziej zawiniły warunki, niezależne ani od nas, ani od litwinów, ale od zdobycia warunków nowych, od ich przemiany zasadniczej kapitalnej.

Dopiero, gdy czynnik obywatelski, czynnik praw publicznych stanie się żywym i zdobędzie możność działania w kraju, — oczywiście, mówię, podkreśla rozmówca, o działaniu na własną rękę. — dopiero wtedy z postępem demokracji ludowej i tych zasad humanitarnych i wolnościowych, które, jak wszędzie na Zachodzie, tak i u nas spełniać się będą, ustala się podstawy spójzycia synów jednej Ojczyzny, litwinów i polaków litewskich. Wszystko, co sprzyja spełnianiu takich warunków, sprzyja jednocześnie i temu spójzyciu.

Jednak p. M. Römer przyznaje, że są dwa wielkiej wagi fragmenty w kwestyi polsko-litewskiej, które długo jeszcze, i po zasadniczej zmianie warunków, stanowią bedą szkopał w organizacji spójzycia polsko-litewskiego w kraju.

— Przyznaję, że ani demokracja, ani postępy uobywatelnienia nie zażegnają na czas jeszcze długiej tarcia. Są to: kwestya Wilna i kwestya wschodnich kresów etnograficznego terytorium litewskiego. Wilno jest wielką wyspą polską i jest zarazem ośrodkiem kraju, kulturalnem ogniskiem wszystkich ruchów i prądów nie tylko Litwy, ale bodaj i Białej Rusi.

Polacy opierają się tu na status quo ludnościowym, litwini i białorusini podnoszą kwestie znaczenia Wilna dla kraju, terytorium etnograficznego, otaczającego miasto, pochodzenia, względów historycznych i t. d. Dążenie do litwinizacji Wilna jest u litwinów popularne, acz do wykonania trudne, bodaj niemożliwe. Znaczenie Wilna, jako ośrodka krajowego, z ewentualna zmiana warunków wzrosłoby ieno, a jednocześnie wzrosłoby i antagonizmy i spory o nie. O litwinizacji polaków wileńskich, jako zjawisku masowem, nie

może być chyba mowy, ale fakt wzrostu napływu elementu litewskiego do Wilna już dziś jest istotnym i w dalszym ciągu akcentować się zapewne będzie. Jak dziś Wilno jest miastem polsko-żydowskim, tak stanie się zapewne z czasem trój- a może i czwórnarodowem: polsko-żydowsko - litewsko - białoruskiem. O Wilnie wyłącznie litewskiem trudno naseryo myśleć. Ale zanim stosunki dojdą do jakichś norm stałych, zanim się ułożą, dużo jeszcze wody upłynie i dużo energii zużyje się na tarcie wzajemne.

Drugą bolączką o przewlekłym zapewne charakterze, będzie kwestya wschodnich kresów etnograficzno-litewskich.

— Oczywiście, nas dziwić nie może, że litwini, odrodzeni narodowo, nie mogą nie boleć nad postępnymi wynaradawianiami się swoich braci na pograniczu wschodnim, nie mogą być jeno widzami biernymi tam, gdzie stare pokolenie mówi jeszcze po litewsku, średnie rozumie ale już używa polskiego, a najmłodsze nie rozumie wcale i pogardza mową swych przodków. Tu jest klasyczne pole zatargów i walki na długi jeszcze czas, albowiem sam lud na tem pograniczu mieszanem jest dotąd bierny i w masie swojej jeszcze nazywa siebie ani polskim, ani litewskim, jeno „katolickim“ i „tutejszym“. Akcja litewska na tych kresach, zdobywająca prozeitów, oraz reakcja przeciwko niej, budząca się w innych ośrodkach tejże masy i wytwarzająca kontr-ogniska polskie, — przyczyniają się, aczkolwiek w drodze walk bolesnych, do unarodowienia się „tutejszego“ ludu w kierunku bądź litewskim, bądź polskim. Dopiero z dokonaniem się tego unarodowienia ustali się tu stosunek sił i zasady spójzycia.

Niestety, żywym procesom towarzyszą zawsze w pewnych okolicznościach stany zapalne. Nie trzeba tylko brać tych stanów, przykrych, lecz historycznie w pewnym stadium rozwoju koniecznych, za samą istotę zjawiska i z nich snuć prognozy dla przyszłych form wzajemnego spójzycia.

— Tyle panu tylko powiem. Zrozumię pan, dla jakich powodów nie mogę dosnuć do końca całej myśli mojej, wyrażonej na wstępie. A w myśli tej zawiera się, zdaniem mojem, cały program sprawy polsko-litewskiej, — temi słowy p. M. Römer zakończył swe ciekawe wyjaśnienia.

U p. Witolda Abramowicza.

P. Witold Abramowicz, jeden z czynniejszych członków grupy przedwcześnie zmarłego „Przeglądu Wileńskiego“, mówiąc o istocie sporu polsko-litewskiego, stanowczo twierdzi, że zgoda jest zupełnie możliwa i że głównej przyczyny niezgody należy szukać w warunkach politycznych kraju, gdzie ani jedna ani druga strona nie może się szczerze wypowiedzieć.

Litewska ekspansję, która widzimy podczas opanowywania poszczególnych placówek, p. W. Abramowicz tłumaczy żywiołowością wogóle każdego ruchu młodego, jakim też niezaprzeczenie jest ruch litewski, a poza tem jeszcze tem, że litwini są stroną zaczepną i zdobywającą, gdy polacy — bierną.

— Litwini przy zdobywaniu placówek, — mówił mi, — na swej drodze spotykają usiłowania pracy elementów polskich, — więc nie dziwnego, że elementy te są uważane przez nich za naturalnego przeciwnika i że



Witold Abramowicz.

sojusze nie-raz zawierają z obozami, przeciwnymi wogóle polskości na Litwie. Oczywiście, podobna taktyka nie może nie budzić rozżalenia i roznamietnienia ze strony polskiej. Jednakże rozstrzygnięcie

sporu może się odbyć li-tylko bez pośrednictwa obcych elementów, bo każda interwencja jedynie rozdrażni, roznamietni i rozjuszy.

P. Abramowicz jeszcze raz stwierdza, co zaznaczyli już i przedstawiciele demokracji litewskiej, fakt zgodności między żywiołami; demokratycznymi tak w obozie polskim, jak i litewskim, które również nawzajem do siebie nie żywią żadnych uczuć nienawistnych czy to nieprzyjaznych.

— We wszystkich niepożądanych ekscesach polsko-litewskich widzieć należy wyniki; nieuświadomienia szerokich mas, rozagitowanych przez czynniki nacyonalistyczne, jakie działają wbrew żywotnym interesom kraju i demokratycznych mas ludowych. W chwili obecnej ekscesów tych nie można będzie usunąć, ponieważ o porozumieniu między obozami nacyonalistycznymi w dzisiejszym stadium ich roznamietnienia nie może być mowy, gdyż są to obozy, które nawzajem się nie znoszą i które chciałyby wzajemnego unicestwienia.

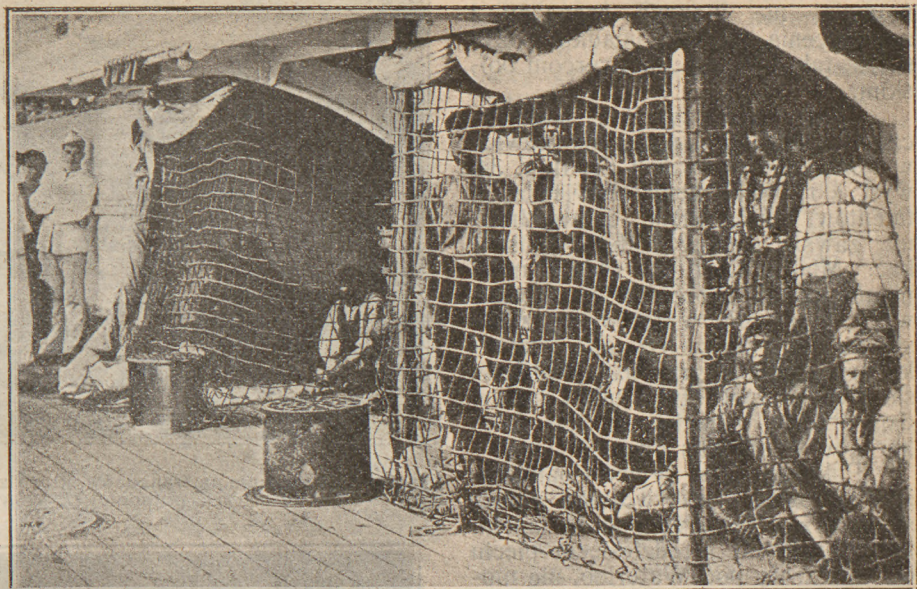
Więc gdzie są środki ratunku?

Zdaniem p. W. Abramowicza, jedynym radykalnym i skutecznym środkiem jest uświadomienie mas ludowych, — żeby zaś to ostatnie przyspieszyć, konieczne jest i możliwe porozumienie grup demokratycznych.

Następnie p. W. Abramowicz wyłuszcza szereg tez, na jakich ma się oprzeć porozumienie.

— Należy dążyć do tego, by obie strony uznały równorzędność praw kultury polskiej i litewskiej, bo tylko wówczas da się zastosować szlachetną współrywalizację kultur nie w imię szkody, lecz w imię korzyści Litwy. Przymusowem szczeniem kultury, jak i wogóle każda

Jeńcy w „klatkach”.



Jeńców tureckich, wziętych do niewoli w walkach pod Dardanelami, przewozi Anglia okrętami wojennymi na pewne wyspy morza Śródziemnego. Przeważną część podróży odbywają jeńcy w klatkach, umieszczonych na pokładzie. Zarządzenie to spowodowane jest nie chęcią zeżłazenia jeńców, lecz przeciwnie, chęcią ulżenia ich smutnemu losowi. Zamiast przebywać w dusznych kazamatkach podpokładowych, mogą oddychać świeżem, zdrowem powietrzem.

przemocą, nie można osiągnąć dodatnich skutków realnych.

Natomiast jako dodatni objaw ostatniej doby p. W. Abramowicz podkreśla fakt przyznania przez stronnictwa litewskie praw obywatelskich polakom na Litwie, bo jeszcze nie tak dawno były wyrażane idee, że polacy są kolonistami i że winni się wynieść za granice kraju, ponieważ miejsce ich jest za Niemnem. Również za objaw niemniej dodatni uważa odczucie potrzeby porozumienia i ze strony polskiej, jakoteż uznanie przez wszystkie polskie odłamy społeczne idei odrębności krajowej Litwy.

— Przyszłość Litwy nie w rozterkach, lecz w mocnem spojeniu ogniw kultur zamieszkujących kraj narodów.

Wilno.

J. Jastrzebiec.



Przed stu laty.

Echa warszawskie klęski pod Waterloo, 18 czerwca 1815 r.

4 lipca 1815 r. w numerze 53 wtorkowym *Gazety korespondenta warszawskiego i zagranicznego*, oprócz lakonicznej wiadomości, otrzymanej pod datą 19 czerwca t. r. z Brukselli, w słowach:

„W bitwie wczorajszej o dwie mile stąd pod Blancmont, między Vavre i Waterloo stoczonej, Bonaparte zupełną odniósł klęskę. Cała jego artyleria z 200 dział złożona dostała się w ręce zwycięzcom. Liczba jeńców, w której znajdują się generałowie: Ney, Vaudamme, Mouton i Moulins wynosi 15,000 (za szczegóły te niecałkiem jeszcze rzeczyć można). Książę Blücher, do którego przyłączyło się 30 tysięcy

świeżego wojska, ściga żwawo nieprzyjaciela. Bitwa była w najwyższym stopniu krwawa. Stratę z obojczych stron do 40 tysięcy głów podają” —

mieszczą się dorywcze informacje o przebiegu walk, które poprzedziły ostateczną Napoleona klęskę.

Pociesza redakcja *Korespondenta* czytelników swoich nadzieją: „iż dokładniejszego wystawienia dni pamiętnych, które zniszczyły zamachy Napoleona, nanowo w Niderlandach zamierzone, wtenczas dopiero spodziewać się można, kiedy wszystkie doniesienia od pojedynczych oddziałów w ogół połączone będą”.

Nie mogła być niecierpliwość czytelników polskich, w kierunku dokładniejszego poznania szczegółów smutnego epilogu epopei napoleońskiej zbyt wielką w chwili, gdy umysł zajmowała przeważnie, jeśli nie wyłącznie, myśl ugruntowania odzyskanej w części udziałności jednej przynajmniej dzielnicy Rzplitej, z jej stolicą, środowiskiem polskości, gdzie się podówczas gromadziły wszystkie siły inteligencji krajowej i gdzie gorliwie nad przyszłością Polski pracowano.

W tymże samym numerze *Korespondenta*, gdzie podano spóźnioną o dni szesnaście wiadomość o bitwie pod Waterloo, ogłoszonem; zostały po raz pierwszy zasady organizacji ogólnej tymczasowego rządu Królestwa Polskiego, zawierające w 30 artykułach przepisy o Namieśnikach, ich władzy i posiedzeniach, o tymczasowej Radzie Stanu, o ministeryach i wydziale oświecenia, o sądownictwie i o urządzeniach ogólnych.

Było więc przedmiotów godnych uwagi dosyć, by odwrócić umysł od widowni bitew pod Bruksellą i skierować je w stronę najżywotniej o- gół polski obchodząca.

To też nastrój ówczesny przodowniczych w Narodzie mężów bynajmniej nie ujawnia rozpaczy i zniechęcenia wobec upadku bożyszczą, tak drogiego ongi sercom polskim.

„Tak zakończył ten nadzwyczajny człowiek — pisał Niemcewicz w *Pamiętnikach* swoich (T. II, r. 34, wyd. z r. 1871), zbiór największych talentów, nieraz wielki, często drobny, zawsze chcący podejść i oszukać. Miał w ręku losy świata, mógł plemię ludzkie uszczęśliwić; zmęczony jest i w pół wytępiwszy, zdaje się, że przy końcu oszalał i wszystko przez okno wyrzucił... Pomścili się nieba krzywd tyłu ludów i choć dziś przecie okazały, że jest Bóg, karzący występki i dume...”

Pokolenie dziś żyjące i pamiętające ponowną klęskę wojenną, poniesioną przez Francję pod Sedanem, po upływie lat pięćdziesięciu pięciu od katastrofy pod Waterloo, nie może sobie wytłómaczyć powodu takiej obojętności, nie tylko polskich mężów stanu, lecz i ogółu ludności polskiej, wobec wydarzenia dziejowego, które, zdruzgotawszy doszczętnie potęgę Francji i genialnego jej wodza, pchnąć miały losy Europy na nowe tory i zniweczyć na długi lat szereg wpływ idei; wolnomyślnych francuskich na rozwój kulturalnych narodów.

Pamiętamy dobrze, my, dzisiaj już starzy, owe objawy głębokiego żalu, smutku i rozpaczy, których byliśmy przed czterdziestu pięciu laty świadkami, na pierwszą wiadomość o pogromie Sedańskim, o pogromie, który cesarza Napoleona, wraz ze wszystkimi generałami i z armią kilkudziesięcio-tysięczną, oddał w ręce nienawistnego prusaka i otworzył mu na oścież drogę do Paryża.

Na ulicach Warszawy tworzyły się gromadki przechodniów, zalamujących rozpaczliwie ręce. Słyszaleś tłumione łkania i przekleństwa. Ludzie nieznani sobie przedtem odczuwali; naraz łącząc ich spójnie, wobec niedoli wspólnej, grożącej ich przyszłości. Nie znano jeszcze podówczas „dodatków nadzwyczajnych”, rozpowszechniających „najświeższe telegramy”, pantoflowa poczta obsługiwała polityków ulicznych. Rozpacz była ogólna i szczerą, a, jak doświadczenie lat późniejszych okazało, aż nazbyt, niestety, usprawiedliwioną.

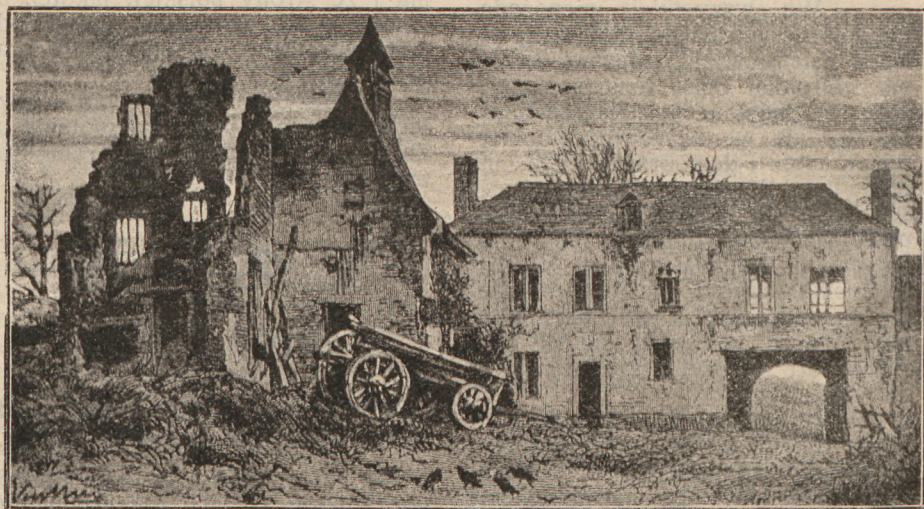
Takich objawów nie zanotowały nam jedyne świadectwa uczuć ogólnych z czasów klęski pod Waterloo, utrwalone w dziennikach ówczesnych... Redaktorowie pism warszawskich milczeli, lub też marnym językiem tłómaczyli wiadomości z gazet berlińskich, donoszące o epilogu bitwy, która, rozpoczęta dnia 18 czerwca o godz. 11 rano atakiem wojsk francuskich, dowodzonych przez Napoleona, z folwarku *Belle Alliance* na dwór *Hougomont*, główną kwaterę Wellingtona, pomimo złamania kolumn anglików, zakończyła się po nadejściu pomocy korpusu Blüchera klęską francuzów i uciecz-



Ostateczne natarcie na francuzów, które zdecydowało w dniu 18 czerwca 1815 r. losy Napoleona. (Z rycinę współczesnej Fikentschera).



Folwark Belle Alliance, z którego Napoleon skierował atak na wojska Wellingtona.



Dwór w Hougomont, główna kwatera Wellingtona w dniu 18 czerwca 1815 roku.

ką Napoleona z pola bitwy, bez kapelusza, szpady i wszelkich przyborów majestatycznych, jakie miał ze sobą w karecie obozowej.

Natomiast dziennik warszawski z dnia 4 lipca 1815 r., dnia, w którym pierwszą ogłoszono wiadomość o nieszczęśliwym dla francuzów rezultacie bitwy pod Waterloo, podają bardzo wyczerpującą wiadomość o zabawie ludowej, która dnia 2 lipca odbyła się w Łazienkach,

gdzie „w naumyślnie wystawionym cyrku w bliskości pałacu brzmiała muzyka w różnych stronach miejsca zabawy, w dziesięciu rozstawiona oddziałach. Na kanale, przy pałacu, dane było widowisko bitwy wodnej na łodziach i we właściwych ubiorach. Puszczono balon na powietrze, na którym wśród mocarstw europejskich umieszczona także była — Polska”.

Alexander Kraushar.



Okopy niemieckie pod Przasnyszem po bitwie.



Tropy Niemców na drodze od Przasnysza do granicy.

Moje przeżycia 1915 roku.

Podajemy czytelnikom naszym, w dokładnym przekładzie, interesujący dokument: Pamiętnik wojenny niemieckiego żołnierza z nad Rawki. Pamiętnik ten jest bardzo prosty i w prostocie swojej straszny. Rzecz ta maluje jednak dość dobrze niezłożoną psychologię a wysoce skażoną moralność przeciętnego niemieckiego żołnierza z mieszczańskiej sfery.

W sam wieczór wigilijny otrzymałem nakaz stawienia się na 28 grudnia w Nienburgu. Wraz ze stu towarzyszami mniej-więcej, z których większa część byli to kawalerzyści lub artylerzyści, włączono mnie do pułku piechoty nr. 77 w Celle. Byłem tam kształcony przez

surowych i w większej części niesprawiedliwych zwierzchników, postarzanych już, do 10 lutego i nabrałem poczuć, co to znaczy być żołnierzem. W dniu 10 lutego wysłano nas do obozu w Muenster dla dalszego kształcenia i tu otrzymywaliśmy dość dobre pożywienie, nie mordowano nas nadmierną służbą i traktowaniu byliśmy wogóle z większą względnością. W dniu moich urodzin, 6 marca, powróciła nasza rota do Celle i zajęła stare koszarzy artyleryjskie. Przepędzaliśmy tu czas bardzo mile i często obecnie myślę o mojej kwaterze w pięknej części miasta, przy Lagerstrasse, 43 nr. Wystąpiłem nareszcie w pole 17 marca. Droga prowadziła do Rosji, przez Berlin, Frankfurt, Ostrowo. W Rathenow dano nam ciepłą strawę; niemiecką kawę i kielbase. Zadowolony się czułem stale i lekko; duchem, tembardziej, że nie obciążony żadną bronią. Za Ostrowem, gdzie nas uraczono ciepłym jadem, wielu towarzyszy wyrzucać poczęło swoje

buty i inne przedmioty przez okno; zauważył to wkońcu przewodnik (Fuehrer) i oznajmił nam, iż takie postępek surowo będą karane. 18-go marca o 3 godz. 55 min. przejechaliśmy granicę, powitaną grzmiącym „hurrah“.

W „Feindeslandzie“.

Przybyliśmy naprzód do Kalisza. Kobiety i dzieci; żebrały chleba. Niemniej smutny był widok okopów ochronnych z obu stron kolei, zagród drucianych, zburzonych domów, świeżo usypanych mogił. Przejeżdżaliśmy przez mosty zburzone i naprędce bylejak naprawione. Nocą pociąg się zatrzymał. Pomimo zimna, spałem dobrze. Rankiem skończyłem do wsi i kupiłem sobie pełną flaszkę polowa kawy, papierosów, pomarańcz i bułek. Wielu mieszkańców mówi po niemiecku. Pociąg daje długo przeciągłe sygnały i rusza ostatecznie, pomimo, że brakuje jednego towarzysza. Ogrzewanie nie działa; zimno dokucza dotkliwie. Mijają nas pociągi z jeńcami rosyjskimi, wśród których widać rannych. Nocą przejeżdżamy przez Łódź i przybywamy wreszcie o ósmej rano do Skierniewic. Zajmujemy rosyjskie koszarzy i otrzymujemy kawę i suchary. Nocą śpiemy na słomie; zimno okrutne; wszystkie okna zamknięte na mur. Po obiedzie przespacerowałem się po mieście. Dworzec zburzony doszczętnie, pozatem inne rzeczy zachowane jako-tako. Każdy dom stał się knajpą. Małe, brudne domki. Ohydne ulice. Ale wiele ładnych dziewcząt, które nie czują się skrepowane żołnierzami niemieckimi. W południe otrzymaliśmy zupełnie zarzewia karabiny i szable. Karabiny 1115. Wieczorem idę znowu na miasto. W jednej z knajp muzyk. Znajome dobrze, radosne, patriotyczne pieśni: „Deutschland ueber alles“ i t. p. To drażni widocznie jednego z miejscowych mieszkańców. Oczywiście, śpiewamy tem głośniej. Biorę do ręki mój rewolwer, gotów do strzału, ale gospodarz wyrzyka mi go i wyrzuca na podwórze. Przychodzą niemieccy oficerowie i zapytują nas, czy nam nie brak czego i jak nas tu traktują. Chwalimy sobie i robi się kolosalnie wesoło (riesig-froh). 21 marca spałem dobrze. Umyłem się w rzece; widziałem przytem rosyjskiego latawca. O 8-ej rozdzielono przybyłe wojsko według pozycji; pozostaliśmy razem z moimi dotychczasowymi towarzyszami. Widziałem trzy rosyjskie latawce. O 11-ej wymarsz do okopów długą, okólną drogą. Rosyjanie nas jednak dostrzegli i strzelali do nas bezustanku. Nieraz piasek pryska nam prosto w oczy. Nachylamy się ustawicznie, ponieważ przejścia nie są zbyt głębokie, a w tych miejscach nas ustawiono, naumyślnie na to, abyśmy przywykli do niebezpieczeństwa i nabrali ducha wojennego. Przez całą noc mocne poty i ciężki głód. 22-go marca otrzymujemy sporo ciężkich pocisków od nieprzyjaciela. Towarzysz Kaese lekko rano-

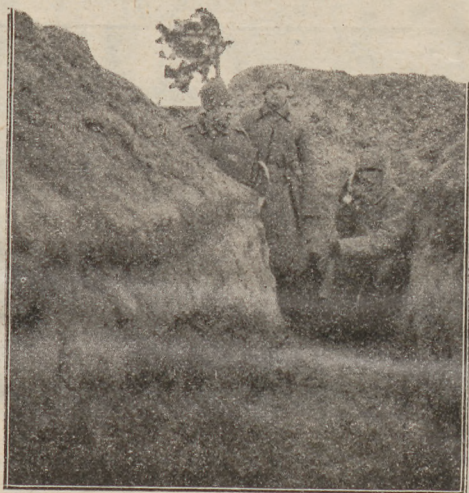
ny w lewy bok. Przewiązujemy go i jeden z nas odprowadza go do rezerwy. Po południu rosyjanie koncentrują ogień szrapnelowy na nasze okopy; piasek sypie się na mnie z tyłu, jakby z sikawki. Narazie trzymamy się w płytkich okopach w pozycji leżącej, poczem szybko i ostrożnie przebiegamy do głębszych, lepiej bronionych szaficów. Wieczorem po raz pierwszy odbywam służbę posterunkową; noc wprowadzie oświetlona rakietami i przebiegającymi pociskami. 23-go marca po raz pierwszy naznaczają mnie na wartę (podoficerski posterunek) prawie o 300 metrów od rosyjskich okopów, a od podoficerskiej awangardy rosyjskiej może niewiecej od 100 metrów. Przez lornetkę mogę obserwować dwóch rosyjan zupełnie wyraźnie. Już go-tów jestem strzelać do nich, gdy mój gefrajter mówi mi, że powinien darować życie biednemu ojcu rodziny; nie strzeliłem przeto. Tego dnia mieliśmy dwóch ciężko rannych. 24-go marca stałem na kolejowym posterunku. Widziałem trzech towarzyszy, przebiegających przez tor, z tych jeden ranny, ale niezbyt okrutnie. Mamy dwóch lekko rannych i jednego ciężko. Zabity rosyjanin leży nad Rawką. Wykończone są nareszcie nasze ziemne zasłony. Tej nocy po raz pierwszy wysłano mnie z patrolem wywiadowczym. Zbliżyliśmy się na 30 kroków od rosyjan, zasłoniętych przez wzgórek, na którym stał wiatrak. Słyszeliśmy ich rozmowę. 30-go marca. Rosyjskie pociski spaliły wiele domostw. Towarzysz Fritz zabity przez granat. Rosyjanie ostrzeliwują nasze okopy. Jeden żołnierz z patrolu wywiadowczego (Horch-Patrouille) ciężko ranny. 31-go marca. Hurra! Mamy listy, dowieszone przez pocztę. 1-go kwietnia. 4 rano. Wymarsz do Skier-niewic z powrotem, na wypoczynek. Wprost z koszar idę do kąpieli, bardzo dobrze urządzonych. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta rozstrzelano za szpiegostwo; trzy razy po 16 strzałów przez landszturmistów i wszystko jest załatwione. 2-go kwietnia. Nabożeństwo wieczorne w kościele. 4-go kwietnia. Wielkanoc. Nabożeństwo. Potem kąpiel. Dwie młode dziewczyny i jeden chłopiec—rozstrzelani. Wszystkich troje razem. „Das Maedel lacht noch“. (Dziewczyna jeszcze się śmieje). 5-go kwietnia. Rozstrzelano syna rosyjskiego oficera. Tak u nas idzie codzień („so geht das hier jeden Tag“). Spalił się areszt, gdzie jeden z landszturmistów przechowywał zapasy wódki. Spłonęło wszystko do szczytu. Straż ogniowa polską rozwiązano i rozpedzono. Nie widziałem jeszcze tak kolosalnego głupstwa. 6-go kwietnia. Przegląd dokonany przez generała Freiherra von Senden, bardzo ostrego zwierzchnika. Rozdzielono nas w inny sposób. Przeznaczony zostałem do 7 grupy: gefrajter Buechner, Bierkutscher saksończyk, Insaunde, Renzelmann, Nuecke, Glimann, Bruns, Niebuhr, Fahshaur i moja persona. Wieczo-

Na terenie walk w Królestwie.



Znoszenie trupów do bratniej mogiły.

rem o 11 wymarsz do okopów i niezwłocznie na wartę. 7-go kwietnia. Cały dzień kanonada. Ciężkie rosyjskie pociski trafiają w zasłony okopów. Trzech młodych towarzyszy zabitych. Jeden gefrajter przestrzelony. 8-go kwietnia. Pięć godzin warty na deszczu rzęsimym a od rana jeszcze 2 godziny warty pod deszczem. Wieczorem ból głowy. Musiałem być zmieniony na nocnej warcie. 9-go kwietnia. Przybywa rezerwa z Brunświku. Noc cała aż do 4 rano kanonada; potem od rana do obiadu. Rosyjanie pokazują nam zdala chleb i chcą nas przynęcić. Dziś 3 zabitych, 1 ranny. Znowu w okopach, 1 rosyjanin zastrzelony przy moście. Zostawiliśmy polskiego żydą rosyjanom w celu szpiegostwa. Urządziliśmy dziś sobie piękną werendę. Rosyjanie usiłowali otoczyć naszych saperów, którzy rzucali ręczne granaty. Rosyjanie grali dziś bardzo dużymi armatami i puszczały lawtawce. Ostrzeliwaliśmy znowu rosyjskie posterunki. Towarzyszowi Fler-sowi rozerwał się karabin. Strzelamy granatami karabinowymi (np. zapewne są to kule rozrywające, dum-dum). Rosyjski granat upadł o 20 kroków przedemną. 20 kwietnia. Bardzo gorąco. Latam na bosaka. W nocy wysadzono w powietrze 30 kroków nieprzyjacielskich okopów; poleciałem nad Rawkę, ale nie było tam nic do zobaczenia. O trzeciej w nocy alarm, ale rosyjan nie widać. 1 zabity, 1 ciężko ranny szrapnelem. W nocy wielka burza. Powiedziałem. 26.4.15. Poszukuje się około dwudziestu ochotników do pochycenia rosyjskiej warty. Zameldowałem się i ja.



Fot. Fuksa. Telefon w okopach na pozycji.

Odpowiedzi redakcyi.

P. J. D. „Kartka z podróży“ z dziennika reportera nie nadaje się dla naszego pisma.

Szef sztabu włoskiego.

Główne dowództwo nad armią włoską, jak wiadomo, objął sam król Wiktor Emanuel. Na czele jednak sztabu stoi gen. Luigi hr. Cadorna. Pocho-dzi on z rodziny wojskowej, która w dziejach Włoch posiada swoją stronicę chwały, a wywodzi się z Palan-zy. Karol hr. Cadorna w wojnie przeciw Austrii musiał cofnąć się z pod Gorycy wskutek interwencji mocarstw. Czego nie mógł dokonać hr. Karol, sądzą Włosi, dokona Luigi. Urodził się on w r. 1850. Jest w pełni sił i uważają go za jednego ze zdolniejszych strategów współczesnych.



Luigi hr. Cadorna.

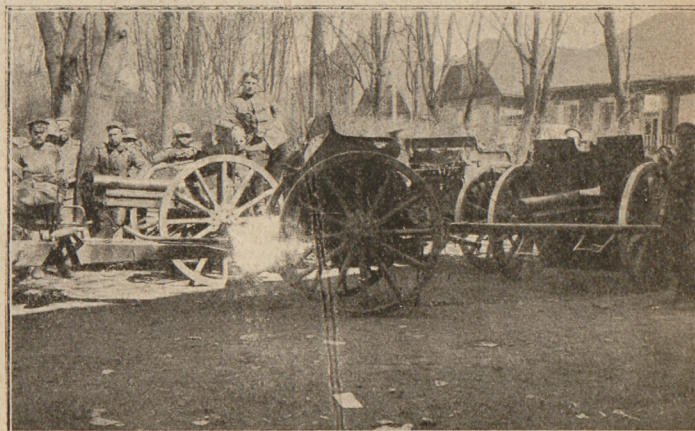




Szawle, spalone po przejściu wojsk nieprzyjacielskich.



Przemarsz wojsk rosyjskich przed udaniem się na pozycję.



Część armat niemieckich, zdobytych pod Szawłami.

Zdobycie Szawel.

Dnia 9 maja o 5 rano wojska zdobyły okopy broniące Szawle. Kawalerya niemiecka pod przykryciem artylerii słaby stawiała jeszcze opór. Niedługo wytrzymała napór piechoty rosyjskiej. O godz. 8 rano wojska pochodowym szykiem wkraczają do Szawel. Ludność powoli opuszcza swoje okopy w piwnicach i z radością wita armię rosyjską. Komendant rozwiązuje utworzoną przez Niemców milicję obywatelską i powierza nadzór nad miastem ochotniczej straży ogniowej. W ciągu 4—5 godz. sklepy wszystkie otworzono. Żołnierze rozkupują natychmiast resztki nie zagrabionych przez Niemców papierosów, konserw i cukrów.

Biedne Szawle, miasto o 40,000 ludności, stolica królów garbarskich, gdzie dobrobyt kwitł i gdzie nie było nędzy. Miasto bogaczy i ludzi sytych przedstawia teraz oazę kilkudziesięciu domów, wśród pogorzeliśa i setek sterczących kominów. Z kilku tysięcy domów zostało zaledwie kilkadziesiąt, w każdym dziesiątce rodzin pogorzeliśców. Sklepy ograbione prawie doszczętnie, mienie mieszkańców zniszczone. Niemcy grabili bezcelowo. Dla sportu czy też dla pobicia rekordu. Odkręcali lichtarze z fortepianów, brali poszewki z poduszek, obrusy ze stołów, oleodruki, zegary ściennie i t. d. Brali wszystko, co było pod ręką, bez względu na wartość. Obrazy najlepszych malarzy nieruszone, tymczasem w kilku miejscach zabrali bohomazy, nie przedstawiające żadnej warto-

ści. Gospodarzyli tutaj cały tydzień. Zarekwirowali mąkę, kartofle, owsie i pszenicę z całej prawie okolicy. Na dzień 10 maja naznaczyli termin ostateczny dla oddania rzeczy miedzianych, jednakże nie zdążyli ich zebrać. 9 maja, zmuszeni wyjść z miasta, żegnali mieszkańców okrzykiem... dowiedzenia. Jakoż nazajutrz znów Szawle widziały swych wczorajszych gości, tylko już na ten raz bez broni i w asystencji żołnierzy rosyjskich.

13 maja Niemcy, chcąc się zemścić na mieszkańcach, poczęli bombardować Szawle. Kilka „kufrów” pękło tuż przy kościele, kilkanaście na placu rynkowym i tyleż na Cerkiewnej ulicy. To wszystko. Rezultat — kilkanaście dachówek na kościele upadło wewnątrz, zabili konia i ranił lekko dwóch żołnierzy. Ogółem Niemcy wypuścili około 50 naboju, co rząd rzeszy niemieckiej kosztowało kilkanaście tysięcy marek.

Szawle.

S. K.

Rumunia marzy...

Specjalna koresp. „Świata”

Jeszcze niedawno tłum bukareszteński głośno salwował swoją sympatię dla generała Pau. Można więc było wnioskować, że wystąpienie Włoch spotka się z niemiejszą radością ze strony rumunów. Zapowiadano bowiem, że dzień włoskiej wojny będzie również chwilą rumuńskiej decyzji. Głucho jednak na ulicach. Spieszą przechodnie i nawet nie zwracają uwagi na ostre krzyki kamelota, polecającego nadzwyczajny dodatek. Wesoly, żywy tłum bukareszteński

jakgdyby pod wpływem tej wiadomości zdrętwiał. Wojna nie jest widocznie tak pożądana.

Najeżdżała przytem do Rumunii z Monaco cała gromada różnych aferzystów, graczy, dam z półświadka. Przebiegają tu, że Niemcy mają w Bukareszcie dobrze zorganizowane biuro szpiegowskie. Podziemna robota tu wre.

Niemieccy kupcy, inżynierowie nie zwijają swoich interesów, przeciwnie, rozwijają. Nie trapią się przytem wcale. Wierzą... w Rumunię. Cytują zawsze słowa umierającego Karola: Nigdy przeciw Niemcom! Zresztą w Rumunii mieszka ich 400,000. I pracują...

A rumuni... marzą.

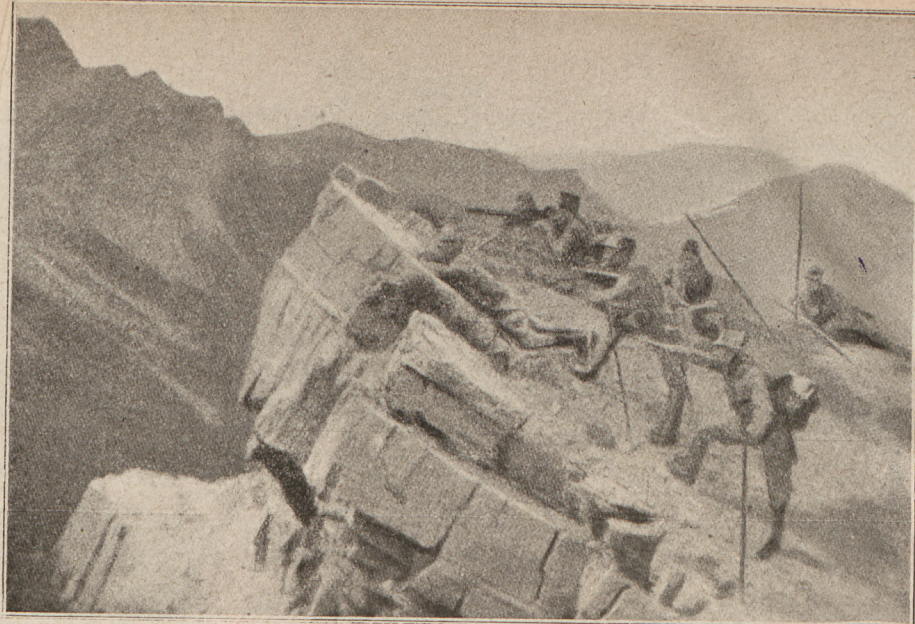
Codziennie między 5 a 7 w dużej kawiarni na placu Św. Antoniego, w stylu wiedeńskim, o niezliczonej liczbie gazet, w pobliżu gmachu ministerów, schodzą się ministrowie, deputaci, uczeni, dziennikarze — wogóle cały prawie inteligentny Bukareszt. Przy szklance czarnej kawy słucha się zwierzeń i marzeń, które usposabiają tem różowiej, że rumuni za tranzyt kontrabandy wojennej biorą od Niemców grube sumki. Nie uśmiecha się im wcale oddanie morza Czarnego w wyłączne posiadanie Rosyan. Przecież i oni mają swoje interesy na tem morzu. I to interesy nietylko polityczne. Ekonomicznie przez Küstendže korzystać Rumunia może bardzo dużo. O flocie wojennej, odpowiedniej ich ambicyom, też marzą.

Ze spokojem też czytają komunikaty o walkach o Dardanele. Przypuszczają, że turkom nie zabraknie amunicji, bo sprawnie pracują rumuńskie koleje.

Trochę wrzawy robi p. Take Jone-sku swoimi sympatiami dla koalicji, zro-



Oddziały alpejskie armii austriackiej w pochodzie przez zbocza Alp Karyńskich.



Austriackie karabiny maszynowe nad przepaściami Prá de Contrin (2481 mtr.)

bił nawet rozłam w partii konserwatywno-demokratycznej (w Rumunii jest taka partya!), ale rezultatów namacalnych nie należy się spodziewać, bo rumuni dziś marzą.

I jak marzą!

Chcą Siedmiogród, Bukowinę, Besarabię (żeby mieć dobrą granicę!), Banat z granicą wzdłuż rzeki Cissy. Nie zrażając się tem, że tam serbów mieszka większość, nie biorą wcale pod uwagę etnografii. Chodzi o dobrą granicę! Troška ta jest tak realna, że nawet p. Jonesku, zwolennik koalicji, pretenduje do pobrzeża rzeki Cissy.

Dla dobrej granicy teraz, podobno, pracuje dyplomacya rumuńska, ale francuski ambasador, przedstawiciel interesów koalicji, jak dotychczas, nie jest skory do ustępstw. Rumuni przypuszczają, że zmieknie.

Szczególnie wieści z najbliższego terenu wojny interesują i napawają nadzieją rumunów. Niepoprawnie więc marzą i skrupulatnie liczą... dochody. Bukareszt stał się przecież teraz wielkim przeładowanym punktem! Ile to trzeba by rumunom zapłacić, żeby ostudzić ich normalną żądzę zysku?

Koalicja biedzi się nad tem. Narazie nie widać rezultatów zabiegów, bo nawet nie wstrzymano tranzytu, co przyrzekano. Ale Rumunia zaczęła marzyć. I to każe jednak przypuszczać, że idzie gorący przetarg. Kto w nim zwycięży?

Patrzac na wesołe, uśmiechnięte ulice Bukaresztu, na spieszący tłum, nie zwracający uwagi na wiadomości o ofenzywie włoskiej, trudno przewidzieć. Ale znając inteligencyę, należy przypuszczać, że z neutralności w stosunku do koalicji Rumunia nie wyjdzie, choć wieści ostatnich dni płyną trwożliwe i wiele dają do myślenia.

Rumunia marzy...

Bukareszt, w czerwcu.

F. K.



**Pamiętajcie
o wpisach szkolnych.**

Wszelkie ofiary przyjmuje
Administracya „Świata“.

Popis w warszawskiej szkole aplikacyjnej.

Tegoroczny popis szkoły aplikacyjnej nie ujawnił wybitniejszych talentów dramatycznych. Kulminacyjnym punktem popisu było przemówienie dyr. Kaz. Zalewskiego, inicjatora i kierownika tej uczelni.



Siedzą: pp. inspektor H. Kawalski, prof. Staszewski, bar. Lüde, prezes teatrów warszawskich pułk. Burman, dyr. szkoły K. Zalewski, prof. śpiewu Rybackow. Fot. Saryuss Wolski.

Z życia Warszawy podczas wojny.



Posiedzenie komitetu W. Księżniczki Tatjana w Warszawie. Siedzą: pp. Aleksander Karszo-Siedlewski, Kazimierz Życki, Lucyna Kotarbińska, Paweł Górski, W. Zyglarski, Władysław hr. Sobański. Fot. Saryuss Wolski.

Z teatrów warszawskich.

TEATR NOWY (ul. Królewska) wznowił, po kilkunastu latach, wesołą farsę francuską, Bisson'a i Hennequin'a, która dawniej nazywała się trochę inaczej, obecnie zaś kazano jej nosić miano: „Urządził się”. Ale — mniejsza o to. Wesołe błazeństwo rozśmiesza tak samo dziś, jak dawniej. Zwłaszcza, że tym, który „się urządził” jest p. Gasiński, ja-

ko zbyt wesoły małżonek, ojciec i teść, ponieważ podpisał przyszłemu zięciowi (p. Rotmund) cyrograf, że się poprawi. A jak nie, to zięć powie wszystko jego żonie (p. Leszczyńska), wierzącej święcie od lat 22 w jego wierność. Na tem tle różne peripetie, ciągnące się przez 3 akty, dopełnione świetną grą p. Mrozińskiej w towarzystwie p. p. Micińskiej, Walewskiej, Trapszy, Knapczyńskiego i t. d. Wszystko kończy się doskonale, a pu-

bliczność, z braku rzeczy lepszych, bawi się i śmieje. Czego chcieć więcej na te ciężkie czasy?... b.

Eugenia Delfosse,

uczenica znanej nauczycielki śpiewu, pani Comte Wilgockiej, debiutowała z powodzeniem w teatrze Nowości w operetce „Córka pani Angot”.



Sala muzyczna „Herman i Grossman”.

Pomimo niezwykle ciężkich warunków, w jakich się znalazły w sezonie ubiegłym wszystkie imprezy o ściśle artystycznym charakterze, sala muzyczna Hermana i Grossmana, pod kierownictwem p. Władysława Grossmana i współpracy p. Jerzego Guranowskiego, zamknęła trzeci swój sezon w pełni powodzenia. Szczególny nacisk położyła dyrekcyja na twórczość swojską, bądź to w wykonaniu mało znanych utworów kompozytorów naszych, jak np. kwartetu D-dur St. Moniuszki, bądź to w malowniczych koncertach p. t. „Polska Pieśń Ludowa”, których programy zawierały cenne perły polskiej pieśni i poezji. We wszystkich koncertach brały udział wybitne siły artystyczne, programy zaś ze smakiem i umiejętnością ułożone ściągały stale miłośników muzyki, a sala zyskała w Warszawie zasłużone uznanie.

Święto sadzenia drzewek w Warszawie.



Członkowie Kom. Obyw. i delegatka angielska, ks. Bariatyńska, obecni przy sadzeniu drzew.



Komisja, zajmująca się świętem sadzenia drzew, z ks. prał. Siemcem, patronem dzieci Powiśla na czele.

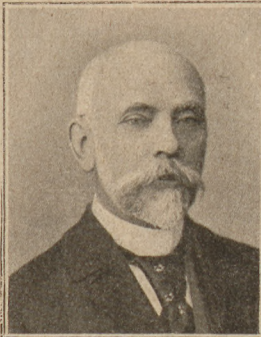
Święto na Powiślu.

Dnia 31 maja na terenie nowozakładanego parku nad Wisłą odbyło się sadzenie drzew. Prace nad zakładaniem parku postępują bardzo szybko. Projekt braci Zajkowskich wprowadza w czyn inż. Art. Machlejd, kierownik robót. Na terenie pracuje 400 robotników już od 6 tygodni. Zbudowano nawet wiorstową kolejkę. Należy się więc spodziewać, że za kilka tygodni na wydmach nadwiślańskich będziemy mieli piękną i zadrzewioną miejscowość.

Na „Święto sadzenia drzew” zaproszono liczną rzeszę dzieci, przedstawicieli różnych instytucji społecznych z delegatami Komitetu Obywatelskiego m. Warszawy na czele. Uroczystość zagał swoim przemówieniem ks. prałat Siemiec, bardzo popularny na Powiślu patron młodzieży i dlatwy. Po przemówieniach zebrane dzieci sadziły drzewa.

Ś. p. Józef Bichniewicz,

inżynier, obywatel m. Warszawy, urodzony w 1842 r., zmarł dnia 26 maja r. b. w Warszawie. Po ukończeniu ówczesnego gimnazjum gubernialnego w Warszawie i politechniki w Dreźnie, odbywał dłuższe studia praktyczne przy budowie kolei w Saksonii. Popowrocie do kraju brał udział przy budowie kolei Libawo-Romeńskiej i jej odnog, następnie Iwangrodzko-Dąbrowskiej, w szczególności przy tunelu miechowskim. Osiadłszy na stałe w



NA LETNISKĄ

Młodszy Szanownych Czytelników polecamy biednego sierotę po inteligentnych rodzicach, wzorowego ucznia 4-ej klasy szkoły polskiej, który błaga na wpisy, ubranie, książki. Ofiary przyjmuje redakcja dla sieroty ucznia 4 klasy.

GARAŻ
I WARSZTATY
REPARACYJNE

Bracia Ładyńscy i S-ka
centralna szkoła szoferów
obecnie **Leopoldyny № 10**

z d. 1 Lipca r. b. przeniesione będą do nowowbudowanych warsztatów i garaży, przy zastosowaniu ostatnich wymagań techniki
NA WŁASNĄ POSESIĘ
przy ul. **Czerniakowskiej № 102**
Tel. 91-80 i 258-83.

Warszawie, oddał się pracy na polu społecznym. Człowiek niezłomnych zasad, wielkiej pracy, unikał rozgłosu, a kochał gorąco swój kraj.

9826

Ś. p. Teresa z Hubickich Kozłowska

przedstawiała typ matrony polskiej głęboko religijnej i miłującej gorąco swój naród i kraj. Oddana całkowicie ognisku domowemu, prowadziła życie zamknięte, obrawszy sobie za cel wychowanie dzieci na godnych obywateli kraju. Podczas wypadków dziejowych z przed 50-ciu lat pracowała wspólnie z małżonkiem swym, ś. p. Janem, zmarłym przed trzema laty. Oddawszy sprawie narodowej zastugi niepoślednie, zmarła dnia 26 maja r. b. w 80-ym roku życia. Cześć jej pamięci!

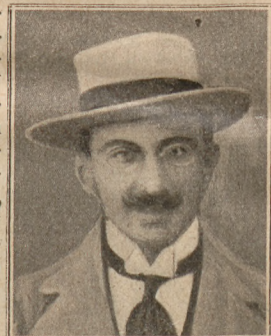


9827

Ś. p. Michał Świeżawski,

agronom, obywatel ziemski, oficer artylerii, syn ś. p. Tadeusza i Bronisławy z Kozarskich, urodził się w roku 1880-ym w majątku dziedzicznym Miętkie, powiatu hrubieszowskiego ziemi lubelskiej. Po ukończeniu nauk średnich w gimnazjum realnem w Warszawie i Wilnie, wstąpił na wydział agronomiczny uniwersytetu w Lipsku, gdzie otrzymał dyplom agronoma w 1902 r. Po powrocie do kraju poświęcił się z zamiłowaniem trudom gospodarczym w dobrach rodzinnych. Miętkie, wlewając całą swą wiedzę, by podnieść stan gospodarki do obecnych wymagań. Wybuch wojny przerwał niestety jego pracę tak pożyteczną na zagonie ojczystym. Powołany do szeregów armii w charakterze oficera artylerii, zgasł 12 maja r. b. w Wilnie. Zgon jego przedwczesny w kwiecie wieku i pełni pożytecznej i twórczej działalności pozostawił szczerbę w szeregu dzielnych, niezmordowanych pracowników ziemian polskich. Towarzyszą mu do mogiły łzy żalu i westchnienia modlitewne rodziny oraz szerokich kół jego przyjaciół. Spoczął w grobach rodzinnych w Nabrozu ziemi lubelskiej. Cześć jego pamięci!

9822



Odpowiedzialny redaktor-wydawca:
Czesław Podwiński.

Leżaki, Hamaki, Łóżka polowe
Meble składane, krokiety, i zabawki.
Józef Drabik, Jerozolimska 21,